



Max Brand
MŚCICIEL Z GÓR



48

ISBN 978-83-67876-06-3

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Max Brand

MŚCICIEL Z GÓR



Max Brand, a właściwie Frederick Schiller Faust urodził się 29 maja 1892 roku w Seattle w stanie Waszyngton i zmarł 12 maja 1944 roku w Santa Maria Infante w Włoszech. Osierocony w wieku 13 lat musiał walczyć o przetrwanie. W młodości pracował jako parobek na ranchach w kalifornijskiej dolinie San Joaquin. Podczas drugiej wojny światowej był korespondentem wojennym we Włoszech, gdzie zginął trafiony odłamkiem pocisku w trakcie raportowania ofensywy wojsk amerykańskich.

Studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim. Wyróżniał się zamiłowaniem do nauki i do czytania książek, a także do buntowniczego stylu życia. Często wszczynał awantury i brał udział w pijatykach. Pisał satyryczne teksty ośmieszające uniwersytecką politykę, które publikował w szkolnych gazetkach i czasopismach literackich. Z tego powodu popadł w konflikt z władzami uczelni, które odmówiły mu przyznania dyplomu w 1915 roku. Kilka lat później uniwersytet zaproponował mu wydanie dyplomu, lecz odmówił.

Miłośnik mitologii greckiej i rzymskiej, dzieł Williama Szekspira, czy prozy sir Thomasa Maloryego, szczególnie uwielbiał dzieło *Śmierć Artura*. Zamiłowanie do klasyki odcisnęło na nim piętno w kwestii budowania postaci i fabuły.

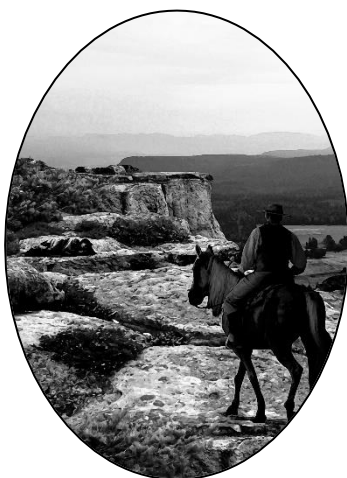
Był jednym z najbardziej płodnych amerykańskich pisarzy. Napisał ponad 300 książek, głównie z nurtu literatury popularnej. Publikował, używając przeróżnych pseudonimów: George Owen Baxter, George Evans, David Manning, John Frederick, Peter Morland, George Challis, Evan Evans oraz Frederick Frost.

Najbardziej znany jest z przesiąkniętą akcją westernów. Do najpopularniejszych należą: *Nieposkromieni*, *Nocny jeździec*, *Siódmy człowiek*, *Córka Dana*, *Biały Wilk*, jednakże największą sławę przyniosły mu powieści o doktorze Jamesie Kildare.

Oprócz wymienionych pisał także romanse historyczne, powieści detektywistyczne oraz powieści szpiegowskie. Zarobił miliony, lecz pieniądze i sława nie miały dla niego znaczenia, a swoje powieści traktował jako sposób zarabiania na życie. Poświęcał się pisaniu poezji i powieści, z których niewielka ilość została opublikowana.

W Polsce wydano dość dużo jego różnych powieści. W PRL, w opublikowanym w 1951 roku *Wykazie książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu* umieszczono wszystkie jego utwory, tym samym objęto je cenzurą i podlegały natychmiastowemu wycofaniu z bibliotek. Jego dzieła uznano za firmowane nagannym nazwiskiem, bądź za „zdezaktualizowane”, lub za wydane w „niewłaściwym” miejscu. Jednym słowem jego książki uznano za „szkodliwe” dla współczesnego społeczeństwa polskiego. Głównie chciano zniwelować zainteresowanie Polaków światem, szczególnie Ameryką, tamtejszym życiem i obyczajami. Jego utwory powróciły do bibliotek i księgarni po 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, niekoniecznie najciekawszych i najlepszych.

Max Brand



MŚCICIEL Z GÓR

Przełożył Robert Zych

**Sto trzydziesta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Czterdziesty ósmy tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
The Rangeland Avenger

© Copyright for the Polish translation by Robert Zych, 2024

Przypisy: Andrzej Zydorczak

16 kolorowych kart tablicowych: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations
by Dariusz Kocurek, 2024


Redaktor serii: Andrzej Zydorczak
Redakcja: Maria Sarnowska
Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-67876-06-3

Rozdział I

pośród czterech mężczyzn Hal Sinclair był duszą i siłą witalną. W prawdziwej pracy górniczej niestrudzone bary i potężne ramiona Quade'a okazały się prawdziwym skarbem. Lowrie był cennym źródłem wiedzy o obozowaniu, polowaniu, gotowaniu i wszystkich innych sprawach związanych ze szlakiem; Sandersen był marzycielem i zdecydowanym duchem, który miał taką nadzieję w znalezieniu złota, że w końcu w nią uwierzył. Zebrał trzech zuchów, by mu pomogli w osiągnięciu celu, gdyby dłużej żył, doprowadziłby wielu innych do porażki.

W tym wysokim, chudym człowieku o bładoniebieskich oczach, koloru horyzontu zasnutego pierwszą poranną mgłą, żyła nieśmiertelna nadzieja. Był duchem przegranych spraw, przecucia, przesądów. Przecucie mogło skłonić go do przebycia pięciuset mil¹, a parsknięcie konia mogło sprawić, że porzucił szlak i zawracał z drogi.

Hal Sinclair był przeciwstawieniem Sandersena. W wieku trzydziestu lat był jeszcze chłopcem – dużym, przystojnym, bezmyślnym, o sercu czystym jak świeży śnieg. Jego gardło było tak wysuszone po tym dniu jazdy, że nie miał odwagi otworzyć ust, by głośno zaśpiewać, jak to zwykle robił. Nucił więc tylko stare i nowe piosenki, a gdy towarzysze przeklinali go za to, gadał po cichu do swego konia i cieszył się gdy zmęczony kuc strzygł uszami na dźwięk znajomego głosu.

Strach i niepowodzenie były skazą na duszach innych. Nie znaleźli złota wartego spojrzenia na nie drugi raz, a zbyt dłu-

¹ *Mila* – tu: angielska mila lądowa, równa 1609 m.

go prowadząc poszukiwania, pochopnie zdecydowali się nagle skrócić drogę powrotną i jechać przez pustynię. Dwa dni temu spadł na nich cios. Znaleźli źródółko Sawyera prawie wyschnięte, tylko pośrodku małą kałużę, a wokół niej zbite wysuszone błoto. Wypili tę wodę do ostatniej kropli i pojechali dalej. Od tego czasu dopadł ich głód wody; w następnym zbiorniku nie było nawet ani kropli. Obecnie jedynym ich celem była błękitna ułuda zarysowujących się w oddali gór, a oni modlili się, by kuce dotrwały do ich podnóża.

Mimo to Hal Sinclair potrafił jeszcze nucić sobie oraz koniowi i choć towarzysze przeklinali jego śpiew, błogosławili go za to w głębi swoich serc. W przeciwnym razie załamałoby się na tej białej, cichej pustyni, oszalełoby pod wpływem magnetycznego mirażu gór i popędzałyby konie dopóty, dopóki nie padłyby o pięć mil od celu; bez tego śpiewu ból w ich powoli puchnących gardłach odebrałby im rozum. Pragnienie na pustyni łączy w sobie kilka gatunków śmiertelnych mąk: spalenie, uduszenie i obłąd.

Nic więc dziwnego, że cała trójka spojrzała spod oka na Hala Sinclaira, kiedy ten wyciągnął rewolwer.

– Mój koń boi się strzałów – powiedział – ale założę się z wami wszystkimi, że odstrzelę róg tej czaszki.

Oczywiście było to bardzo głupie. Najlepszym strzelcem z nich wszystkich był Lowrie. Faktycznie doszedł do niebezpiecznej doskonałości w obchodzeniu się z bronią palną, kiedy człowiek jest skłonny sięgnąć po broń, chcąc rozstrzygnąć spór. Wzrok Lowrie'go podążył w kierunku gestu Sinclaira. Leżała tam czaszka wołu z ogromnymi, rozgałęzionymi rogami. Reszta szkieletu ugrzęzła w piasku.

– Nie gadaj głupot – odparł Lowrie. – Oszczędzaj siły i amunicję. Możesz potrzebować ich dla siebie, synu!

Sandersen i Quade wzdrygnęli się pod wpływem ponurej aluzji. Cierpki uśmiech wykrzywił szeroką, brzydką twarz Lowrie'go, a Sinclair jedynie wzruszył ramionami.

- Założę się z tobą o dolara.
- Nie.
- Pięć dolarów?
- Nie.
- Boisz się spróbować, Lowrie?

Wyzwanie było rzucone z uśmiechem, ale Lowrie zaczerwienił się. Był dziecinnie dumny ze swojej umiejętności władania bronią.

- W porządku, dzieciaku. Szykuj się!

Szybko wziął colta do ręki i zręcznie wyważał, machając tam i z powrotem między oczami a celem, by przygotować się do strzału.

- Gotowe! – zawołał podekscytowany Sinclair.

Pierwsza przemówiła broń Lowrie'go i był to jedyny strzał, bo koń Sinclaira naprawdę bał się strzałów. W chwili eksplozji mustang zarżał przeraźliwie, wyleciał w górę jak z procy, po czym opadł i zaczął brykać. Widzowie zapomnieli sprawdzić, jaki był rezultat strzału Lowrie'go. Odsunęli z obrzydzeniem konie od szalejącego bronco¹. Sinclair był głupcem, zużywając w ten sposób ostatnie siły swojego mustanga. Hal Sinclair zapomniał o czekającej go podróży. Ogarnęła go hulaszcza wesołość, krzykiem zachęcał konia do nowych wybryków. I właśnie w trakcie tego zamieszania spadł wielki cios. Koń wbił prawe przednie kopyto w dziurę.

Patrzącym wydawało się, że wypadki następują po sobie bardzo powoli. Mustang chciał dać jeszcze jednego susa, starał się

¹ *Bronco* (łac.) – surowy, nieoswojony, łamliwy, w języku kowbojów Ameryki Północnej dziki lub półdziki, także nieujężdżony jeszcze i mocno brykający koń występujący podczas rodeo.

wyciągnąć nogę, która zdawała się być przyklejona do ziemi, potem nagle wygiął się i upadł na bok. Usłyszeli okropny, tępy trzask łamanych kości i jęk tortuowanego zwierzęcia.

Nie zwrócili jednak na to uwagi, bowiem podczas upadku Hal Sinclair został przygwożdżony pod swoim wierzchowcem. Ogromna siła Quade'a wystarczyła, by ruszyć zwijającego się mustanga. Lowrie i Sandersen wyciągnęli bezwładną prawą nogę Sinclaira i położyli go na piasku.

Lowrie zastrzelił konia.

– Udała ci się sztuka – rzekł Sandersen wściekłym głosem do leżącego Sinclaira. – Czterech ludzi i trzy konie! Wspaniały z ciebie partner, Sinclair!

– Zamknij się! – odezwał się Hal. – Zróbcie coś z moją stopą!

Lowrie zręcznie rozciął but i wysunął stopę. Leżała bezwładnie, boleśnie skręcona w jedną stronę na piasku.

– Zróbcie coś! – powiedział Sinclair, jęcząc.

Trzech mężczyzn patrzyło na niego, na martwego konia, na rozgrzaną do białości pustynię, na odległe, błękitne góry.

– Cóż u diabła możemy zrobić? Zmarnowałeś wszystkie nasze nadzieje, Sinclair.

– Jedźcie więc dalej i zapomnijcie o mnie! Ale zanim odjedziecie zawiążcie mi stopę. Nie mogę tego znieść!

Usłuchali go w milczeniu, obrzucając jednocześnie ponurymi spojrzeniami. Każdy z nich mówił sobie, że głupota Sinclaira zrujnowała ich wszystkie szanse wydostania się żywcem z piasków. Spojrzeli na czaszkę wołu. Była tam nadal, niedaleko. Wydawała się powiększać, nabierając straszliwego znaczenia. Każdy z nich instynktownie umieścił obok niej wyblakłą i białą czaszkę człowieka o ciemnych oczodołach. Quade zabandażował nogę Sinclaira, zaciskając mocno bandaż powyżej kostki,

co utrudniało obieg krwi, ale łagodziło ból i teraz Sinclair mógł usiąść.

– Przepraszam – powiedział – bardzo przepraszam, chłopcy!

Nie odpowiedzieli. Widział w ich spuszczonej wzroku, że go nienawidzą. Poczul to w brutalnym dotknięciu ich rąk, gdy podnosili go i wsadzali na siodło Quade'a. Quade był największym z nich i w milczeniu przyjęto, że on pierwszy będzie szedł, podczas gdy Sinclair jechał. Zgodzili się na to wszyscy, prócz Quade'a. Potężny mężczyzna szedł obok swego konia i od czasu do czasu obrzucał Sinclaira bezlitosnym spojrzeniem.

Chodzenie po piasku było ciężką pracą. Pięta zapadała się głęboko, obciążając tylną część uda, a potem śródstopie ześlizgiwało się do tyłu w połowie kroku. Wysilek niezmiernie podnosił temperaturę ciała. Nie było żadnego podmuchu, duszność stawała się nie do zniesienia.

A dzień dopiero się zaczynał!

Zaledwie dwie godziny wcześniej słońce było jedynie czerwona kulą na skraju pustyni. Teraz stało jeszcze nisko na niebie, a już było nieznośnie gorąco. Ich żalosne spojrzenia zapowiadały grozę, która miała nadejść w południe.

W grupce panowała śmiertelna cisza. Kolejno, podług zegarka, każdy z nich szedł przez pół godziny, po czym zmieniali konie, a gdy każdy z nich maszerował pieszo, rzucał jedno długie, pełne nienawiści spojrzenie na Sinclaira.

Po raz pierwszy zaczął ich poznawać. Byli przypadkowymi znajomymi. Cała ta wyprawa została podjęta przez niego pod wpływem chwili i, na tyle na ile leżało to w jego wesołej, bezzwycięzkiej naturze, zaczął tego żałować. Praca na szlaku przekonała go, że znalazł się w nieodpowiedniej kompanii, a pierwsza poważna próba zdarła maski z ich twarzy. Widział trzy brzydkie natury, trzy małe, okrutne dusze.

Nadeszła kolej Sandersena na spacer.

– Może teraz ja mógłbym trochę pochodzić – zaproponował Sinclair.

Po raz pierwszy w życiu był ciężarem dla kogokolwiek, poza swoim bratem – a to było coś innego. Ach, jakże innego! Zmówił krótką modlitwę za Rileya Sinclaira. Był to człowiek, który szedłby pieszko cały dzień, byle jego brat mógł jechać, a pod koniec takiego dnia, ten człowiek z żelaza byłby tak samo świeży, jak ci, co jechali konno. Nie byłoby żadnych pytań, żadnej złości, nic, prócz dobrowolnej ofiary. Ha! w duchu zaprzysiął sobie, że odtąd będzie osądzał ludzi według surowego i honorowego ducha Rileya.

Wtedy padła ta smutna propozycja:

– Może teraz ja mógłbym trochę pochodzić, Sandersen. Trzymałbym się strzemia, skakałbym i tak przeszedłbym jakiś kawałek.

Lowrie i Quade zaśmiali się szyderczo, a Sandersen odparł wściekłym głosem:

– Zamknij się. Wiesz, że to niemożliwe, ale powinienem sprawdzić twój blef.

Nie padła żadna odpowiedź, bo nie było to możliwe. Skrecona stopa powodowała nieustanne tortury.

Pół godziny później, kiedy zatrzymali się, bo Sandersen miał wsiąść na konia, a Lowrie z kolei iść, Sinclair poprosił o wodę. Quade podał niechętnie manierkę rannemu, ale Sandersen wyrwał mu ją z ręki.

– Popatrz tu! – rzekł Sandersen. – W tej sprawie musimy się podzielić. Ty sobie siedzisz na koniu, jedziesz i to wystarczy. Ja i reszta cierpimy piekielne męki. Weźmiesz trochę tego piekła na siebie. Ty będziesz jechał, a my będziemy mieli wodę. Nie wiele jej już zostało!

Sinclair popatrzył bezradnie na pozostałych. Ich twarze wyrażały surową zgodę.

Słońce wznosiło się powoli ku zenitowi i wydawało się, że utknęło tam na wiele godzin, zalewając ziemię coraz większym żarem. Przedgórze wciąż falowało niebieskimi konturami wyznaczającymi odległość – straszliwy dystans.

Od wschodu nadciągała chmura pyłu. Niespokojny wzrok Sandersena dostrzegł ją pierwszy, a wśród pozostałych rozległ się ochryply okrzyk radości. Quade szedł pieszo. Podniósł ku chmurze pyłu ramiona, jakby była to wizja miłosierdzia. Halowi Sinclairowi zdawało się, że zimna woda cieknie mu po języku i na zboląłą piekącą nogę. Jednak po tym pierwszym okrzyku radości zapadła cisza, a twarze zachmurzyły się.

– To nie wozy – odezwał się w końcu gorzko Lowrie – i nie jeźdźcy; za szybko to pędzi. To też nie jest wiatr, gdyż za wolno się zbliża. Ale to też nie ludzie. Możecie być tego pewni!

Wciąż mieli nadzieję, aż do momentu, gdy rosnąca chmura rozstąpiła się i uniosła na tyle, że zobaczyli stado dzikich koni, pędzących w równym tempie. Zauważyły ludzi i szybko skręciły w lewo. Chwilę później przed czwórką pozostała już tylko cienka smuga unoszącego się kurzu. Trzy pary oczu zwróciły się na Sinclaira i cicho przeklinały go, jakby to była jego wina.

– Te konie dążą do wody – rzekł Hal. – Czy nie możemy pojechać za nimi?

– Pędzą do wody oddalonej może o pięćdziesiąt mil. Nie, nie możemy jechać za nimi!

Ruszyli znów w drogę, a teraz, po tym okrutnym rozczarowaniu, trud zdawał się zdwojony. Quade za każdym kolejnym krokiem straszliwie kłął. Gdy nadeszła jego pora na jazdę, odciągnął na bok Lowrie’go, i długo ze sobą rozmawiali, zerka-jąc z ukosa w kierunku Sinclaira.

Hal niejasno domyślał się treści tej rozmowy i podejrzewał ich o zdradę i podłość. Nawet gdyby miłość własna mu na to pozwoliła, nie śmiałyby się odezwać.

Ta sama scena powtórzyła się, gdy Lowrie szedł pieszo. Quade odjechał na bok z Sandersenem i znowu, rozmawiając, obrzucali rannego wilczymi spojrzeniami. Na następnym postoju stanęli przed nim. Sandersen zabrał głos.

– Już prawie zdecydowaliśmy, Hału – rzekł z rozmysłem – że na jakiś czas zostawimy tu ciebie. My pojedziemy poszukać wody. Kiedy ją znajdziemy, wrócimy po ciebie. Rozumiesz?

Sinclair zwilżył wargi językiem, ale nic nie odpowiedział.

Wtedy głos Sandersena stał się piskliwy od nagłej pasji.

– Powiedz, czy chcesz, aby trzech ludzi zginęło za jednego? Poza tym, co dobrego możemy tu zrobić?

– Żartujesz, Sandersen – odparł Sinclair. – Nie mówisz tego poważnie! Nie zostanę sam! Nie możecie mnie zostawić na pastwę losu! Równie dobrze możecie mnie zastrzelić!

Wszyscy zamilkli. Sandersen patrzył na Lowrie'go, a Lowrie wbił wzrok w piasek. Dopiero Quade zaczął działać.

Podszedł z boku do Sinclaira, wziął go w potężne ramiona, zsadził z siodła i położył na piasku.

– Trzymaj nerwy na wodzy – poradził mu. – Wrócimy.

Wymawiając te słowa, jękał się.

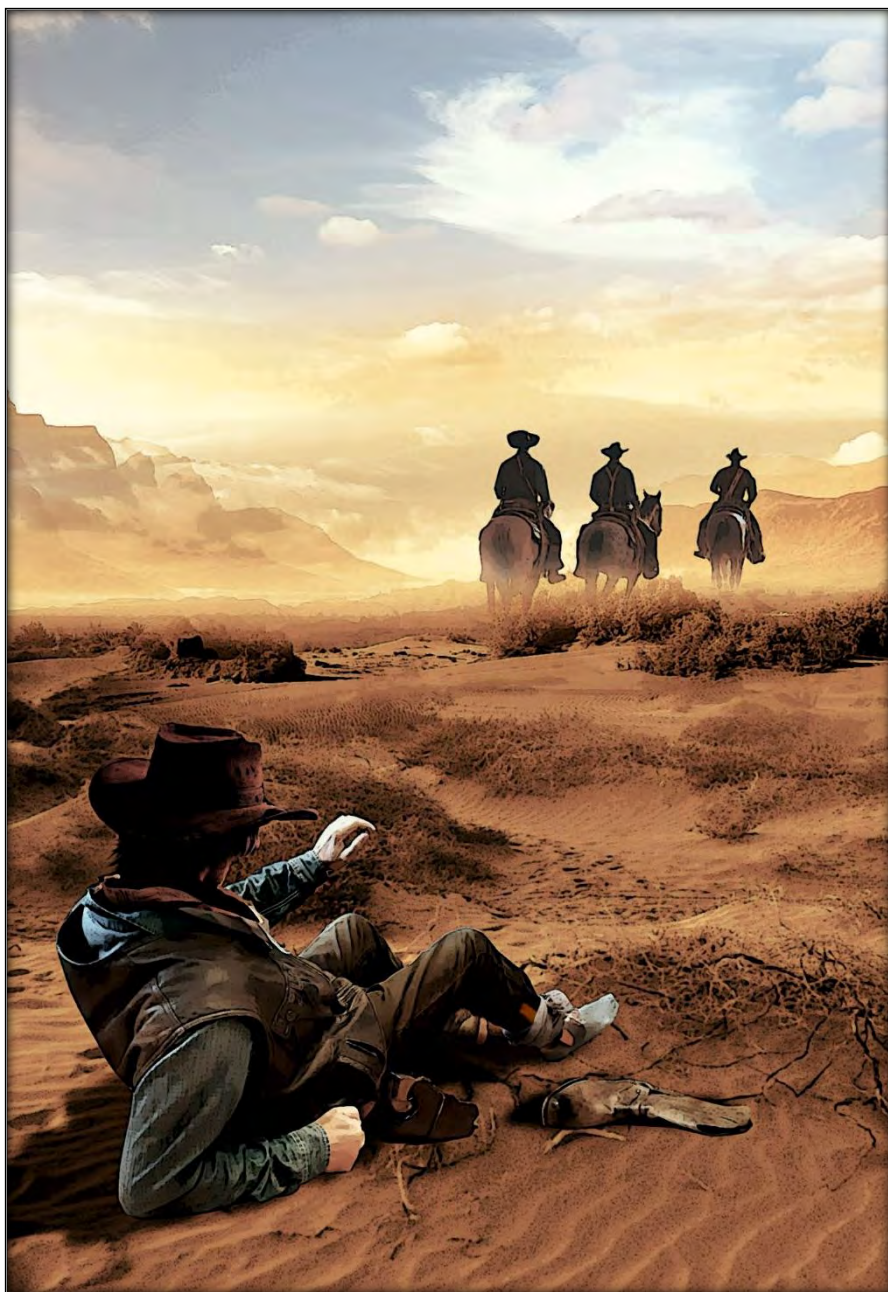
– Albo zginiemy wszyscy, albo wrócimy. Dalej, chłopcy. Ja mam czyste sumienie!

Pospiesznie zwrócili konie w stronę gór, a kiedy za nimi rozległ się głos Sinclaira, żaden nie odważył się odwrócić głowy.

– Koledzy, przez wzgląd na naszą wspólną robotę, nie róbcie tego!

Przeraźliwie zgodnie wbili ostrogi w boki koni i zmusili nieszczęsne zwierzęta do galopu; głos za ich plecami zamienił się w lament, ale oni nie spojrzeli za siebie.

Nie śmieli też patrzeć nawzajem na siebie, gnali ze wzrokiem wbitym pasmo wzgórz. Raz Lowrie obrócił głowę, chcąc sprawdzić pozycję słońca. Raz Sandersen, wstrząśnięty jakimś spazmem wyrzutów sumienia, czy strachem przed śmiercią,



Pospiesznie zwrócili konie w stronę gór, a kiedy za nimi rozległ się głos Sinclaira, żaden nie odważył się odwrócić głowy podługę.

z dziwnym jękiem spuścił głowę. Poza tym nie zamienili ani jednego słowa, ani jednego gestu aż do chwili, gdy półtorej godziny po opuszczeniu Sinclaira znaleźli wodę.

Z początku myśleli, że to miraż¹. Za obopólną zgodą odwrócili się od niego. jednak konie zwietrzyły wodę i stały się nie do opanowania. Pięć minut później zwierzęta stały po kolana w błotnistej wodzie, a mężczyźni, zanurzwszy się w niej po piersi pili, pili, pili...

Potem usiedli na brzegu, wpatrując się w siebie w osłupieniu. Z jakiegoś powodu nie było w tym radości.

– Myślę, że Sinclair będzie wielce szczęśliwy, gdy zobaczy, że wracamy – rzekł Sandersen, uśmiechając się blade.

Przez chwilę nikt mu nie odpowiadał. Potem zaczęli się gorączkowo usprawiedliwiać.

– Quade, to był twój pomysł.

– Na twoją przeklętą duszę, czy nie cieszyłeś się, że wpadłeś na ten pomysł? Chcesz zwalić całą winę na mnie?

– Jaką winę? – odezwał się Lowrie. – Czyż nie przywieziemy mu wody?

– A jeśli kiedyś opowie, że go zostawiliśmy? Musielibyśmy się prędko wynosić z tych stron.

– Nigdy nie opowie. Każemy mu przysiąc.

– Jeśli zacznie gadać, zatkam mu gębę – rzekł Lowrie, bębniąc znacząco po pochwie rewolweru.

– Zrobisz to? A co, jeśli naśle na ciebie swego brata?

Lowrie przełknął ślinę.

– Cóż... – zaczął, ale nic więcej nie powiedział.

Wsiadli w milczeniu na konie i pojechali z powrotem. Dopiero gdy zaczął zapadać zmierzch, przyspieszyli jazdę, bojąc się,

¹ *Miraż* (fatamorgana) – zjawisko optyczne obserwowane w atmosferze ziemskiej; polega na powstawaniu obrazów przedmiotów oddalonych od obserwatora i zwykle normalnie niewidocznych wskutek załamania się promieni świetlnych w nierównomiernie nagrzanej warstwie powietrza.

że w ciemności nie odnajdą miejsca, gdzie zostawili swego towarzysza. Gdy byli już całkiem blisko, zapadł zmrok i Quade zaczął wołać swym potężnym głosem. Nadsluchiwali... Czasem wydawało im się, że słyszą echo lub, w wielkim oddaleniu, czyjś głos podobny do echa.

– Może zaczął się czołgać i poszedł w złą stronę – rzekł Lowrie. – Powinien siedzieć na miejscu, ponieważ...

– Och, Boże! – krzyknął Sandersen. – Wiedziałem! Wiedziałem to przez całą drogę!

Wskazał na postać leżącą na wznak na piasku ze skrzyżowanymi ramionami. Zsiedli i znaleźli Hala Sinclaira martwego i zimnego. Może wskutek pragnienia popadł w obłąd, może obmyślił sobie na zimno, że lepiej skończyć z życiem, nim ogarnie go szaleństwo. Surowy spokój malujący się na twarzy przemawiał raczej za tym drugim przypuszczeniem. Wyglądał na wiele starszego niż był. Jakakolwiek była tego przyczyna – Hal Sinclair strzelił sobie w głowę.

– Widzisz tę twarz? – zapytał Lowrie spokojnym głosem. – Przypatrz się dobrze. Zobaczysz ją na każdym kroku.

Sandersena ogarnął zabobonny strach.

– Co ty mówisz, Lowrie? Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że teraz jest podobny do Rileya Sinclaira. Zapamiętajcie sobie wszyscy: przed śmiercią staniemy twarzą w twarz z Rileyem Sinclairem.

– On nigdy się nie dowie – twierdził uparcie Quade. – Któż o tym wie, oprócz nas? A czy któryś z nas się wygada? – zaśmiał się na tę myśl.

– Nie wiem... – szepnął Sandersen. – Nie wiem..., panowie, ale zrobiliśmy straszną rzecz i zapłacimy za nią... zapłacimy!



Rozdział II

Dóźniej ich drogi rozeszły się. Sandersen i Quade wrócili do Sour Creek. Na skrzyżowaniu dróg ostatnie słowa Lowrie'go były skierowane do Sandersena:

– Ty zorganizowałeś tę wyprawę. Jeśli wyjdzie z tego jakieś piekło – to dotknie głównie ciebie. Pamiętaj o tym, bo teraz ja mam jedno z twoich przeczuć!

Po tych słowach, Lowrie skierował się prosto przez góry; w podróży jedynymi jego punktami orientacyjnymi były kopce graniczne i instynkt. Był jednym z ludzi urodzonych do życia na szlaku. Zatrzymał się w Four Pines i opowiedział tam historię, którą ułożył z Quade'em i Sandersenem. Z Four Pines historia ta rozejdzie się na drutach telegraficznych i Riley Sinclair zostanie uprzedzony. Lowrie nie miał zamiaru opowiadać osobiście rewolwerowcowi o śmierci Hala Sinclaira. Z pewnością nie byłby pierwszym człowiekiem, który opowiedziałby tę historię.

Dotarł do Colmy późnym popołudniem; na werandzie starego hotelu otoczyła go natychmiast grupa osób. Wiadomość faktycznie rozeszła się z Four Pines i tłum domagał się jej weryfikacji. Odpowiadał tak gładko, jak tylko potrafił. Hal Sinclair podczas upadku z konia złamał nogę; oni obwiązali ją jak najlepiej potrafili. Przywiązali Hala do konia, ale on nie mógł znieść bólu podczas jazdy. Zatrzymali się więc, prawie umierając z pragnienia. Wywiązała się gangrena. Hal Sinclair zmarł czterdziści osiem godzin po zatrzymaniu się.

Wersja ta zadowoliła ludzi z Four Pines. Było więcej śmiertelnych historii związanych z pustynią. Ale Pop Hansen, właściciel hotelu, odciągnął na bok Lowrie'go.

– Przez jakiś czas trzymaj się z daleka od Riley’a. Jest roztrzęsiony. Wiesz, bardzo lubił Hala i źle to znosi. Ma brzydki sposób zadawania pytań i...

– Prawda jest prawdą – zaprotestował Lowrie. – Zresztą...

– Wiem... wiem, ale przez kilka dni nie pokazuj się mu na oczy.

– Będę sobie chodził jak zwykle, Pop. Dzięki!

– Nieważne, nie ma pośpiechu. Riley wyjechał z miasta i wróci jutro lub pojutrze. Osobiście wolałbym wdepnąć w gniazdo grzechotników niż rozmawiać z Riley’em dopóki jest w takim usposobieniu.

Lowrie wszedł powoli po schodach do swego pokoju, bardzo zamyślony. Znał reputację Riley’a Sinclaira i wiedział, że ten człowiek jest gorszy niż jego reputacja. Był jednym z tych surowych osobników, którzy żądają oko za oko – i więcej niż oko.

Po wejściu do swojego pokoju rzucił się na łóżko. W końcu nie było powodu wpadać w panikę. Nikt nigdy nie pozna prawdy. Aby mieć podwójną pewność, wyruszy wczesnym świtem na dalekie szlaki. Ledwie przyszła mu do głowy ta myśl, a już ją odrzucił. Ucieczka spowodowałaby na niego podejrzenia, a Riley Sinclair byłby pierwszym, który by to podejrzewał. W takim przypadku odległość nie uratowałaby go, nie przed tym twardym i niestrudzonym jeźdźcem.

Chcąc zebrać myśli podszedł do umywalki i obmył rozpaloną twarz. Właśnie się wycierał, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Mogę wejść? – spytał cienki głosik.

Odparł twierdząco i do pokoju wsunął się chłopczyk.

– Czy pan nazywa się Lowrie?

– Tak.

– Jakiś pan czeka na dole i prosi, aby pan zszedł i spotkał się z nim.

– Kto to jest?

– Nie wiem. Niedawno przeprowadziliśmy się z Conway. Mogę wskazać go panu na ulicy.

Lowrie podążył za chłopcem do okna. W otoczeniu pół tuzina mężczyzn o poważnych twarzach, stał Riley Sinclair, wysoki, spokojny, budzący grozę. Widok ten napełnił Lowrie’go trwogą. Wcisnął w rękę chłopca srebrną monetę i powiedział:

– Powiedz mu... powiedz... że zaraz zejde.

Gdy tylko chłopiec wyszedł, Lowrie podbiegł do okna, które otwierało się na bok domu. Kiedy spojrzał w dół, jego nadzieja zniknęła. Kiedyś po tej stronie budynku znajdowała się szopa. Po jej pochyłym dachu mógł zejść niezauważony na ziemię. Teraz przypominał sobie, że rok wcześniej została zburzona. Okno umieszczone było wysoko i skok był zbyt niebezpieczny. Co do schodów, to prowadziły wprost do frontowych drzwi. Jeśli zejdzie, Sinclair na pewno go dojrzy.

Nie miał wątpliwości co do motywów tego wielkiego człowieka. Ciężkie przewinienie w jego umyśle było tak oczywiste, że wydawało mu się niemożliwe, by Sinclair nie przejrzał na wskroś opowiadania o złamanej nodze Hala i nie dostrzegł kłamstwa. Poza tym zaproszenie przez posłańca wydawało się pustą przynętą. Sinclair chciał walczyć z nim i zabić go przy świadkach, którzy potwierdziliby, że Lowrie pierwszy sięgnął po broń.

Walczyć? Lowrie popatrzył na swoje ręce i skonstatował, że trzęsą się aż do przegubów. Nawet gdyby był w dobrej formie czuł, że nie miałby szans. Raz widział Sinclaira w akcji w starym saloonie¹ Lwa Murphy’ego; widział jak Red Jordan dostaje

¹ *Saloon* – termin używany dla określenia pomieszczenia, gdzie sprzedawany jest w USA alkohol z przeznaczeniem do spożycia na miejscu; w czasach podboju zachodnich terenów Stanów Zjednoczonych w XIX przez białych osadników było to ważne miejsce spotkań oraz spędzania wolnego czasu przez osadników i robotników.

ciągi i jak Sinclair celowo strzela temu człowiekowi w ramię. Red Jordan został kaleką na resztę życia.

Przypuśćmy, że śmiało zszedłby na dół, opowiedział swoją historię i zaufał swemu umiejętnemu kłamstwu? Nie. Wiedział, że jak stanie przed Sinclairem, to zblednie. Przypuśćmy, że odmówiłby walki? W górskich okolicach lepiej jest umrzeć, niż okryć się hańbą.

Znowu podbiegł do okna, by spojrzeć na ulicę i stwierdził, że Sinclair zniknął. Kolana Lowrie'go ugięły się pod ciężarem ciała. Podszedł chwiejnym krokiem do łóżka, jak pijany człowiek, i zwałił się na nie.

Sinclair wszedł do hotelu, co niechybnie oznaczało, że zaczął się niecierpliwic. W tym wielkim człowieku widać płonęła gorączka zabijania. Lowrie usłyszał miarowe kroki na schodach. Stopnie trzeszczały pod czyimś ciężarem.

Lowrie wyciągnął broń; rewolwer zaczął się dwukrotnie. Lowrie, ogarnięty paniką, wreszcie wyszarpnął go z pochwy. Jak tylko drzwi się otworzą, będzie strzelał bez czekania, a potem zaufa szczęściu, że uda mu się wywalczyć przejście między ludźmi na dole.

Lufa rewolweru chwiała się jak oszalała – w górę i w dół, w prawo i w lewo! Przytrzymał ją drugą ręką, ale broń wciąż się kiwała.

Podwinąwszy kolano przed pierś, oparł się obiema rękoma. To dawało mu większą stabilność, ale czy ta wykrecona pozycja nie przekreśli szans na celny strzał? Jego własna przepowiednia, wypowiedziana nad martwym ciałem Hala Sinclaira, że wszyscy trzej znów zobaczą tę twarz, wróciła do niego z poczuciem nieuchronnego losu. Zapewniał sam siebie, że tę wiedzę dał mu dalekowzroczny instynkt.

Kroki na schodach zbliżały się miarowo. Jednak między kolejnymi krokami, myśl Lowrie'go skakała tu i tam, do przodu

i tyłu tysiące mil. Co będzie, jeśli w ostatniej chwili zawiodą go nerwy? Co będzie, jeśli załamie się, stchórzy, a wstyd z tego powodu podąży za nim? Lepiej, po tysiackroć lepiej zginąć z własnej ręki.

Podniecenie, złe przeczucia, zmęczenie długą drogą – wszystko to działało na Lowrie'go.

Kroki zbliżały się. Wydawało mu się, że od czasu, gdy posłyszał je po raz pierwszy, kiedy zaczęły wchodzić po schodach, minęła godzina. Słyszał było ciężkie stąpanie za drzwiami. Rozbrzmiało ostre pukanie do drzwi. Przez sekundę palce Lowrie'go zastęły na rękojeści broni; obrócił lufę do własnej piersi i wystrzelił.

Nie bolało... Ogarnęło go tylko poczucie odrętwienia i niewyraźne uczucie rozrywanych mięśni, jakby były obcą materią. Upuścił rewolwer na łóżko i przycisnął obie ręce do rany. Wtedy otworzyły się drzwi i pojawił się w nich nie Riley Sinclair, a Pop Hansen.

– Co, u diabła...? – zawołał.

– Sprowadź Sinclaira. Zdarzył się wypadek – powiedział cicho Lowrie ochryłym głosem. – Sprowadź Rileya Sinclaira, szybko. Muszę mu coś powiedzieć.



Rozdział III

Riley Sinclair jechał górską przełęczą. Miał za sobą godzinę męczącej wspinaczki, ale to nie współczucie dla zmęczonego konia kazało mu ściągnąć wodze. W naturze Riley'a nie było zbyt wiele miejsca dla współczucia. „Końskie mięso” było dla niego wyłącznie środkiem do osiągnięcia pewnego celu. Nie zatrzymał się również, by podziwiać tajemniczą zmianę, jaka zachodzi między późnym popołudniem a wczesnym zmierzchem. Jego bystre oczy spełniały dokładnie swoje zadanie, nie nauczyły się jednak nigdy rozpoznawać błękitnych tonów w wieczornych cieniach; dla Riley'a nie miało to znaczenia.

Jeśli patrzył życzliwie na zbocza schodzące ze szczytów ku dolinom, to dlatego, że oznaczały łatwy zjazd. Riley uważnie obserwował otoczenie, bo była to dla niego nowa kraina. Tam, gdzie ukośne promienie słońca lśniły i odbijały się w oknach, leżało z pewnością Sour Creek; widać było wijącą się wśród wzgórz drogę. Riley westchnął.

W głębi serca pogardzał tą doliną. Leżały tam ciemne pasma zoranej ziemi. Rozproszone domy zaczynały się u podnóża i zgęszczały się w stronę Sour Creek. Jak mogli ludzie pozostawać tu, gdzie było tak mało miejsca na manewry? Spojrzył w dół, w cień doliny. Mały kraj, mali ludzie!

Malownicze obrazy nie robiły wrażenia na Riley'u; gdy tak siedział na siodle z ręką na udzie i patrzył pogardliwie na Sour Creek, sam był obrazem, na który podnosiły się głowy. Z reguły koń zwraca na siebie tyle samo uwagi, co jeździec, ale kiedy Riley Sinclair się zbliżył, ludzie zobaczyli tylko człowieka i nic więcej. Nie dlatego, że był specjalnie przystojny, ale dlatego,

że nagle zdawano sobie sprawę ze stu osiemdziesięciu funtów¹ krzepkich, twardych mięśni i władczej twarzy.

W oczach zapalały mu się czasem isierki humoru. Jedynie one zmiękczały jego rysy. Był w tym trudnym wieku, mając trzydzieści... może trzydzieści pięć lat, kiedy się jest jeszcze młodym, a straciło się już wszystkie iluzje młodości. „Twardy” – tak faktycznie brzmiało to słowo, jakiego ludzie używali do określenia Rileya Sinclaira.

Pogodziwszy się ze zjazdem do zatłoczonej krainy, odsunął na bok wszelki żal. Określił sobie jasno cel: dom położony w pewnej odległości, blisko drogi, a następnie pobudził swego wierzchowca przy pomocy ostróg. Następnie, ściągnąwszy tak wodze, jak preferował, popchnął konia w dół zbocza. Jasne było, że mustang nienawidzi swego pana, jasne też było, że Sinclair opanowuje świetnie konia za pomocą dłoni, dzierżącej wodze i ostróg. Pomimo swej wagi Riley siedział lekko na siodle, dostosowując swe ruchy do ruchów konia i starając się ulżyć mu odpowiednim kołysaniem ciała, które zmniejsza ciężar. Świetny jeździec był tak rozsądny, że aż wydawał się lekkomyślny.

Zjechawszy ze zbocza, ruszył klusem po płaskowyżu. Jakiś tajemniczy instynkt umożliwiał mu prowadzenie konia bez spoglądania na ziemię, przeciwnie, zadarł wysoko głowę i wpatrywał się w stojący przed nim dom. Dwukrotnie zasłaniały go kępy drzew, a za każdym razem, gdy był bliżej, oczy Sinclaira rozświeślał błysk zadowolenia. W końcu skinął głową, jakby potwierdzając swoje przekonanie, wjechał w lasek rosnący na wzgórzu za domem. W tej kryjówce, wciąż poświęcając swojemu celowi połowę czasu, obejrzał szybko broń. Dwa długie rewolwery zgrabnie znalazły się w dłoniach, aby je wyważyć i obrócić bębenki.

¹ *Funt* – jednostka wagi równa 0,453 kg.

Potem z futerału wyciągnął strzelbę, a zanim ją ponownie odłożył, dokładnie sprawdził magazynek.

Po wykonaniu tych czynności jeździec nie wydawał się zbyt spieszyc, by jechać dalej. Ustawił konia w miejscu, z którego mógł obejrzeć bezpośrednio otoczenie domu; potem siedział nieruchomo, jak jastrząb unoszący się na bezwietrznym niebie.

Wkrótce drzwi małej chatki otworzyły się, wyszło z nich dwóch mężczyzn i poszło ścieżką prowadzącą do drogi, zatopieni w poważnej rozmowie. Jeden z nich był wzrostu Riley'a, lecz cięższy, drugi mały i szczupły. Ten ostatni doszedł do sennego kuca stojącego przy końcu ścieżki i powoli zebrał w garść wodze. Najwyraźniej był zmartwiony, a powodem tego zakłopotania były słowa wielkiego mężczyzny. Teraz bowiem mały człowieczek obrócił się, wyciągnął rękę i zaczął prędko mówić, jak ktoś, kto wypowiada ostatnią prośbę. Do uszu Riley'a docierał zaledwie szmer tych słów, ale głośny śmiech wysokiego mężczyzny słyszał doskonale. W końcu mniejszy dosiadł konia i odjechał ze spuszczoną głową, podczas gdy drugi stał z skrzyżowanymi rękoma i patrzył za nim.

Wydawało się, że wyśmiewa się z małego człowieczka i rzeczywiście był ku temu powód, bo Riley nigdy nie widział jeźdźca tak niezdarnie siedzącego na rumaku. Kiedy kuc zaczął z lekka kłusować, łokcie człowieczka trzepotały jak skrzydła. Niczym wielki, niezdarny ptak wyfrunął z pola widzenia poza krawędź wzgórza.

Duży mężczyzna stał wciąż z założonymi rękoma i patrzył w stronę, w której tamten zniknął; nadal trząsał się ze śmiechu. Kiedy w końcu się obrócił, Riley Sinclair pędził już ku niemu ostrym galopem. W górskiej pustyni pozdrawia się nawet obcych. Machnął ręką do Riley'a, a ten odpowiedział na jego kiwnięcie; jechał teraz kłusem w kierunku nieznanego. Z bliska wy-

dał się Sinclairowi jeszcze wyższy niż z daleka: zwalista postać wsparta na jeździeckich butach z wąskim obcasem. Spojrzał bystro na Sinclaira, a pierwsze jego słowa dotyczyły srodze zmęczonego kuca.

– Widzę, nieznajomy, żeś mocno sfatygował konia.

Mustang stał teraz spokojnie i robił ciężko bokami.

– Na ogół – odrzekł Sinclair – kiedy siadam w siodle, to nie dla przyjemności, a po to, żeby dokąś dojechać.

Jego głos był zaskakująco przyjemny. Mówił wolno, tak że od czasu do czasu miało się wrażenie, że zatrzymuje się i szuka odpowiednich słów. Poza mile brzmiącym głosem, miał osobliwy sposób patrzenia swojemu rozmówcy prosto w oczy, zwyczaj, który podoba się mieszkańcom górskiej pustyni. Nieznajomy odpowiedział mu uśmiechem. Był młodszy od Riley'a, ale robił wrażenie równie twardego jak Sinclair.

– Może zejdiesz na chwilę z siodła? – zapytał. – Mam w domu całkiem niezły alkohol.

– Dzięki, kolego, ale przed nocą muszę dojechać do Sour Creek. Domyślam się, że za tym wzgórzem, to Sour Creek?

– Tak. Jesteś nowy w tych stronach?

– Prawie.

Pełne rezerwy zachowanie się Riley'a nie było denerwujące dla wielkiego mężczyzny. Jego raczej brutalnie przystojna twarz rozjaśniła się, jak gdyby znalazł w Riley'u kogoś własnego pokroju.

– Jedziesz stamtąd?

– Spoza gór.

– Podróżujesz z małym bagażem.

Jego spojrzenie spoczęło na skromnym ekwipunku Riley'a. Sinclair był znany z tego, że ruszał na pustynię, mając tylko strzelbę, naboje i wodę. Wszystko inne było dla niego zbędne

i było mało prawdopodobne, że dodatkowo obciążyłyby konia. Jedynym wyjątkiem zrobionym na rzecz wygody była derka, zwinięta porządnie za siodłem. Należał do tych wyjątkowych mieszkańców Zachodu, dla których kawa nie stanowi niezbędego warunku życia na szlaku. Dopóki posiadał strzelbę, mógł zawsze zdobyć mięso, a jak długo miał mięso, nie dbał o inne produkty. W czasie dłuższych podróży bagaż jego ograniczał się zwykle do paru worków dającego siłę ziarna dla konia.

– Może znasz gościa, którego tu szukam – zapytał Riley. – Nazywa się Ollie... Oliver Quade.

– Owszem, trochę go znam, tak.

– Widzisz, przynoszę mu coś w rodzaju wiadomości o śmierci – kontynuował beznamiętnie Riley.

– Hm... – odrzekł nieznajomy i dalej obserwował Rileya.

Jego oczy nagle stały się czujne, jego spojrzenie przesunęło się po rękach i twarzy Rileya.

– Tak – mówił niedbale Sinclair. – Przybywam od mężczyzny, który był jego kumplem. Nazywa się Sam Lowrie.

– Sam Lowrie! – wykrzyknął wielki człowiek. – Jesteś przyjacielem Sama?

– Byłem jedynym przy jego śmierci – odparł po prostu Riley Sinclair.

– Nie żyje! – zawołał. – Sam nie żyje!

– Musieliście być sobie bliscy.

– Człowieku, ja jestem Quade! Lowrie był moim druhem! Zbliżył się do Sinclaira i podniósł wzburzoną twarz.

– Jak odszedł Lowrie?

– Całkiem spokojnie... buty zdjęte... miał wygodnie.

– Przekazał ci wiadomość dla mnie?

– Tak, o gościu o nazwisku Sinclair, Hal Sinclair, jak się zdaje.

Natychmiast odwrócił wzrok, jak gdyby starając się coś sobie przypomnieć, a z boku zerknął na Quade'a i zauważył, że

ten patrzy na niego podejrzliwie. Gdy ponownie obrócił ku niemu głowę, oczy jego były tak czyste jak oczy dziecka.

– Tak, dobrze mówię, Hal Sinclair.

– No i co z tym Halem Sinclairem? – zapytał szorstko Quade.

– Zdaje się, że Lowrie miał go na sumieniu – odrzekł Riley spokojnym głosem.

– Nie mów tak!

– Powtórzę ci to, co mi powiedział. Może bredził, bo przed odejściem miał coś w rodzaju gorączki. Mówił, że pojechaliście na poszukiwanie złota: ty, on, Hal Sinclair i Bill Sandersen. Utknęliście na pustyni i szukaliście wody. Koń Sinclaira złamał nogę w dziurze, zwałił się i skręcił mu stopę. Wasza czwórka jechała. Sinclair siedział na koniu, a wy trzej szliście na zmianę piechotą. Bez wody konie osłabły, a wy się nieźle przestraszyliście – mówił Lowrie. W końcu ty i Sandersen doszliście do wniosku, że Sinclair też musi iść piechotą, ale Sinclair nie mógł chodzić. Wówczas we trzech zdecydowaliście się go zostawić i pojechać po wodę. Wodę znaleźliście, wszystko w porządku, i po trzech godzinach wróciliście po Sinclaira. Ale on stracił nadzieję i zastrzelił się wcześniej niż umarł z pragnienia, jak rzekł Lowrie.

Riley wolno snuł okropną opowieść. Na jego twarzy nie było widać żadnych emocji, dopiero kiedy Quade obtarł ręką krople potu występujące na czole, szczęki Rileya lekko się zacisnęły.

– Lowrie z pewnością bredził – rzekł Quade.

Riley popatrzył obojętnym wzrokiem na zszarzałą twarz Quade’a.

– Myślę, że tak mogło być, ale też prosił, by ci powiedzieć: „Na pewno pójdziemy do piekła za to, co zrobiliśmy”.

– Późno mu to przyszło do głowy – odparł Quade. – Czekał, aż będzie mógł zrzucić winę na mnie i na Sandersena, co? Do piekła z Lowrie’em!

– Pewnie już tam jest – odparł Sinclair wzruszając ramionami. – W każdym razie ja spełniłem to, czego chciałem.

– Masz zamiar gadać o tej historii w Sour Greek? – spytał cicho Quade.

– Ja? Przecież opowiedział mi o tym w zaufaniu umierający człowiek!

Szczerść Riley'a rozbroiła trochę Quade'a.

– Trochę to dziwnie, że tak od razu natrafiłem na ciebie, prawda? Wygodnie się tu urządziłeś. Ładna mała chatka, kolego. A w domu pewnie żona, dzieci i wszystko inne? Powiedziałbym, że masz szczęście!

Quade ucieszył się ze zmiany tematu rozmowy.

– Jeszcze nie mam żony! – odparł.

– Sam tu mieszkasz?

– Sam. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu. Trochę tu pewnie smutno samemu.

– Niedługo już tej samotności. Ale skoro już o tym mówimy – niespokojne sumienie Quade'a zmuszało go do wszczęcia z powrotem poniechanej rozmowy – chyba nie uwierzyliście w to, co mówił Lowrie?

– Lowrie był bardzo chory, może bredził. Więc tak sobie sam żyjesz? Nie ma nikogo w pobliżu?

Jego niespokojne, niecierpliwe oczy badały okolicę. W zasięgu wzroku nie było żywego ducha. Na tle zachodniego nieba ciemną plamą odcinał się łańcuch gór. Spojrzał znów na Quade'a.

– Jak zginął Lowrie?

– Został postrzelony.

– Rzucili się pewnie na niego całą kupą?

– Nie, tylko jeden człowiek.

– Coś takiego! Lowrie świetnie umiał walczyć bronią, oprócz Billa Sandersena był najlepszym jakiego widziałem! Ktoś go dopadł, co!

- Nie, sam się zabił.
- Samobójstwo?! – sapnął Quade.
- Tak.
- Dlaczego?

– Opowiem ci jak to było. Usłyszała, że ktoś nadchodzi. Faktycznie wyrzła przez okno hotelu, zobaczył Rileya Sinclaira i wyobraził sobie, że Riley przyszedł porachować się z nim za jego brata, Hala. Lowrie był podniecony, stracił głowę i kiedy właściciel hotelu wszedł na górę, pomyślał, że to Sinclair. Nie czekał dłużej i zastrzelił się.

- Wydaje się, że dużo wiesz – powiedział zamyślony Quade.
- Bo widzisz, to ja jestem Riley Sinclair.

Nadal uśmiechał się, ale Quade wyglądał jak ktoś, kto zobaczył ducha.

– Musiałem się upewnić czy mieszkasz tu sam. Musiałem się upewnić, że jesteś winny. I jesteś, Quade. Nie rób tego!

Ręka Quade'a schwyciła za kolbę rewolweru i zastygła na niej.

– Nie nadajesz się teraz do strzelaniny – mówił wolno Riley. – Jesteś cały roztrzęsiony, Quade i nie trafiłbyś w tę górę, a co dopiero we mnie. Poczekaj chwilę. Nie spiesz się. Weź się w garść i poczekaj aż przestanie ci drżeć ręka.

Quade zwilżył językiem zbielałe wargi i czekał.

– Wy też daliście Halowi mnóstwo czasu – ciągnął dalej Riley. – Od chwili, kiedy Lowrie wszystko mi opowiedział, zastanawiam się ciągle co czuł Hal jak ty i dwaj pozostali zostawiliście go samego. Zanim człowiek zdecyduje się palnąć sobie w łeb, niejedno mu przychodzi do głowy.

Riley mówił tonem, jakby prowadził towarzyską rozmowę.

– Dziwne, jak uzyskałem te wszystkie informacje, kolego. Wszedłem do pokoju, w którym był Lowrie. Gdy usłyszał moje nazwisko domyślił się, że ścigam go z powodu Hala. Błyska-

wicznie chwycił za broń. Później opowiedział mi wszystko, a ja urządziłem mu piękny pogrzeb. Zrobię to samo dla ciebie, Quade. Jak się teraz czujesz?

– Idź do diabła! – zaklął Quade.

– Pójdę, pójdę, ale prędeż bym się dał usmażyć po kawałeczku, niż bym opuścił kompana, druha, na pustyni! Słyszysz? To dziwna rzecz, że człowiek może mieć tyle przyjemności, pakując ołów w ciało drugiego człowieka. Miałem raz tę przyjemność i zamierzam mieć ją ponownie. Zabiję cię, Quade, ale chciałbym móc to zrobić w jakiś powolniejszy sposób. Wyciągnij broń!

Ostatnie słowa trzasnęły jak bicz. Rewolwer Quade'a wyleciał z kabury szarpnięty konwulsyjnym ruchem nadgarstka wielkiego mężczyzny, ale to rewolwer Rileya plunął ogniem, kiedy płynnym ruchem znalazł się w jego dłoni. Quade nie upadł. Stał z oszołomioną miną, jakby chciał sobie przypomnieć coś dawno zapomnianego. Sinclair palcami lekko muskał kolbę swojej broni i czekał. Quade raczej zwalił się niż upadł. Potężny mężczyzna stał się kupą martwego mięsa.

Sinclair, nie schodząc z konia, pochylił się i przewrócił ciało na wznak.

– Ponieważ kiedy przyjdzie po ciebie diabeł, niech popatrzy ci prosto w twarz, Quade – tłumaczył temu, który był przed chwilą silnym mężczyzną.

Jadąc szlakiem w kierunku Sour Creek starannie i zręcznie wyczyścił rewolwer i nabił go ponownie.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!